



EUGENIUSZ DEBESKI
★RUSSIAN★
★IMPOSSIBLE★



MOHERFUCKER

Eugeniusz Dębski

Russian Impossible



Runa

Copyright © by Eugeniusz Dębski, Warszawa 2011

Copyright © for the cover illustration by Czartart, Magdalena Muszyńska, Izabela Surdykowska-Jurek; Copyright © for the photograph by Damir Spanic - istockphoto.com, surabhi25 - fotolia.com

Copyright © for the interior illustration by Maciej Dębski

Copyright © 2011 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2011

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Marianna Chałupczak

Korekta: Maria Radzimińska

Skład: własny

Wydanie I

Warszawa 2011

ISBN: 978-83-7787-105-8

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

Dedykacja

Mojej żonie, Beacie, wspierającej mnie na każdym etapie tworzenia tej powieści, od tytułu począwszy, na rytualnej ostatniej kropce kończąc.

Mojej mamie, Łucji, która niezmiennie uważa, że ludziom stałaby się krzywda, gdybym zaniechał pisania. Dziękuję.

Mojej wnuczce, Ninie - mam nadzieję, że szybko nauczy się czytać i będziemy sobie miło gaworzyli o literaturze i o tej książce też.

ROZDZIAŁ 1

Siergiej Paraskiewoj wysiadł z łady i z cyrkową zręcznością posłał niedopałek w kierunku kratki ściekowej, na której zbrązowiały filtr zatańczył, podskoczył kilka razy i wpadł w czeluść petersburskiej kanalizacji. Zerknął na zegarek, westchnął, bo znowu był w niedoczasie, co *bladskaja* Kira na pewno wykorzysta i pokaże mu figę, zamiast dać córeczkę na spacer po parku. Ale trudno, milicja to nie praca, nawet nie służba, to Filozofia i Obowiązek, tak to rozumiał Paraskiewoj. Trzasnął drzwiami, oparł się tyłkiem o karoserię i docisnął swoim ciężarem wypaczone, skorodowane drzwi. Nawet nie wyjął kluczyka ze stacyjki. To było Szuwałowo, jego dzielnica i jego kwartał ulic: Poeticzeskij Bulwar, Rudniewa, Suzdalskij Prospiekt i Jesienina. Tu wszyscy wiedzieli, kim jest *starszysj praporszczik* Paraskiewoj, a on wiedział niemal wszystko o niemal wszystkich.

Przyjechał tu z rodzicami dwa lata po wojnie, Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, z Piatigorska, okupowanego przez faszystów tylko przez siedem miesięcy, ale to wystarczyło, by z sytego i zadowolonego malca stał się sierotą po mizernym sekretarzu komitetu dzielnicowego. Szuwałowo nie chciało go przygarnąć. Rówieśnicy nie dopuszczali go do swoich zabaw, chyba że byli w desperacji. Gdy brakowało innych chętnych, stawiali go na bramce, by po puszczonej golach, z jego czy nie jego winy, besztać, wrzeszczeć albo poczęstować kilkoma kuksańcami.

Tak stracił dwójkę i trójkę, dolne, stałe.

Inna sprawa, że chłopacy z Szuwałowa bawili się tak, jak Sierioża bawić się nie chciał wykradali kotlety ze stojącego na parapecie stołwkowej kuchni kotła, wyciągali haczykami z drutu tandetne – ale jednak! – pierścionki z nieszczelnej witryny sklepu z pamiątkami, wcześniej nawiązywali kontakty z organami ścigania i płcią przeciwną. Sierioża nie pił, nie palił, cnotę stracił późno i raczej przypadkowo.

Przez cały okres dorastania znajdował się jakby na zewnętrznej orbicie życia dzielnicy, wykpiwany przez kolegów z podwórka, kwartału i klasy, choć nie było ku temu żadnych powodów: zwyczajny chłopak o przeciętnym wyglądzie, przeciętnie rozwinięty. Mógłby grać i na obronie, i w ataku, biegał dobrze, w dysku miał nawet rekord szkoły, ale nie był akceptowany, bo nie urodził się tu, lecz w jakimś kurorcie, Niemcy nie spalili mu domu, nie głodował przez tysiąc dni, a teraz mieszkał w dwóch pokojach z kuchnią, samodzielnych! Cała reszta zaś tłoczyła się w komunałkach, gdzie w ośmiopokojowym mieszkaniu gnieździło się osiem rodzin, w kuchni i łazience na ścianie umocowanych było osiem włączników i każdy korzystał z własnego i własnej żarówki, a włączenie innej owocowało dziką awanturą, czasem z *mordobojem* i interwencją milicji.

Dlatego Sierioża, gdy skończył, z przeciętną średnią, ale przeciętną w górnej części tabeli, szkołę średnią, poszedł do Wyższej Szkoły MSW – miał ojca

z zasługami, zamordowanego przez faszystów, czyli słuszny życiorys, a także niezłe stopnie. I ogromną chęć odegrania się na kolegach i innych typach za swoje dzieciństwo i młodość. Za to, że gdy nie mogli go przeskoczyć, gdy jego wyższość w jakiejś sprawie nie podlegała dyskusji (szkoła!), gdy już nie mieli żadnych argumentów, używali tego ostatecznego, ich zdaniem powalającego: *Paraskiewoj, chuj ty balszój!*

I odegrał się. Po sześciu latach wrócił do dzielnicy, matka już nie żyła, nie bał się więc zemsty na rodzinie. Już jej nie miał. Zaczął z zapałem i energią, rzadką w jego pracy, zaprowadzać porządki w Szuwałow. W ciągu pierwszego roku wsadził za kratki siedmiu dawnych kolegów – a właściwie tak zwanych kolegów – potem jeszcze czterech, przeżył podpalenie mieszkania, odebrał mizerne odszkodowanie za spalonego zaporożca, posłał do pudła kolejnych ośmiu. Kilka bójek, trzy napady, niegroźny postrzał. Zasadził się na pozostałych trzech, dopadł ich, dwóch nie przeżyło pościgu i próby zatrzymania.

W Szuwałowie na długie lata zapanował spokój.

Siergiej Michajłowicz mógł awansować i ruszyć w górę po szczeblach służbowej drabiny, ale nie skorzystał. Posunął się nawet dalej. Gdy nowy komendant, zachwycony jego wynikami przeniósł go o piętro wyżej, i lokalizacyjnie, i służbowo, upił się, narozrabiał, postrzelił dwie prostytutki i migiem wylądował na starych śmieciach. Od trzech lat nikt już nie przejawiał chęci awansowania go. Przełożeni poprzestawali na nagrodach pieniężnych, dyplomach, pucharach. Siergiej Michajłowicz spokojnie maszerował przez lata wieku średniego, frustrując się co najwyżej zbliżającą się nieśpiesznie emeryturą i czekając na powrót z pierdła Josifa Joba – przed aresztowaniem i później nie udało mu się spuścić Jobowi łomotu, obiecywał więc sobie dać mu potężny wpierdol pod byle pretekstem i przy pierwszej okazji.

Czekał.

Od roku w dzielnicy działo się coś niedobrego. Przemknęła smuga jakiegoś syfu, nieokreślonego, niesprecyzowanego, taki bezwonny cuch. Na oko wszystko było OK, w *ażurie*, jak mawiali sąsiedzi, ale Siergiej Michajłowicz czuł i wiedział, że pod grubą warstwą pozorów rwie zaskakująca swoją intensywnością rzeka... czegoś. On, Siergiej Michajłowicz Paraskiewoj, wyczuwał napięcie, słyszał skrzypienie cięciwy, naciąganej gdzieś poza zasięgiem jego wzroku, słuchu, węchu. Móz... nie, mózgu nie. Właśnie tylko mózg, intuicja, i ta wypracowana, i ta wrodzona, informowała go, że albo już się coś dzieje, a on nie wie co, albo zacznie się dziać, ale kiedy się zacznie – nie wiadomo.

To go martwiło. Wkurwiało. Piekło i kłuło...

Uruchomił wszystkie kontakty, kapusie dorobili się worków pod oczami i drżenia palców, starli obcasy i podeszwy na szmonie, kilku nadgorliwych i niezdarnych nabawiło się kontuzji kończyn, jeden skończył z butelką po śmietanie w odbycie, najaktywniejszy – na cmentarzu.

Nic.

Siergiej Michajłowicz sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął papierosa, zapalił,

zaciągnął się głęboko i gospodarskim okiem obrzucił perspektywę ulicy Jesienina. Była czwarta z minutami, większość mieszkańców dzielnicy jeszcze siedziała w pracy albo robiła pośpieszne zakupy – jutro piątek, urwanie głowy w marketach, na parkingach, na ulicach. Dzielnica i ulica na razie jeszcze puste jak o świcie. Z tym że ci, których Paraskiewoj potrzebował, nie robili zakupów ani w Lidlu, ani w Atabie, ani w Eko, tylko w starym dobrym poradzieckim *uniwiermagine*, z drzwiami zamykanymi przez skrzypiącą sprężynę, z odbojnikami w postaci burej szmaty. Robili zakupy i od razu je konsumowali.

Zerknął na citizenę, splunął, jak przed wejściem do chlewu, i ruszył przez ogromną arkę, pamiętającą czasy dziarskich, przepełnionych entuzjazmem budowniczych Leningradu. Podwórko było, jak na leningradzkie standardy, niewielkie: pięciobok z dziesięcioma klatkami schodowymi, zaniedbane, ale jeszcze wyraźne trawniki, jako tako zamiecione alejki, tworzące, gdy się patrzyło z najwyższych pięter, gwiazdę – co prawda z kilkoma falsalejkami na trasie do śmietnika i trzepaka, gdzie wygodniej było dojść na przełaj niż po wytyczonej przez komucha architekta alejce. W centrum gwiazdy znajdowała się piaskownica ze świeżo wymienionym piaskiem, otoczona pięcioma ławkami. Kilka kostek betonu ustawionych na szpicy ramienia najbliższego bramy, zakłócało komunikacyjną funkcję alejki. Dodatkowo dostępu do piaskownicy broniło czterech typów w kreszowych dresach Adiaids, Pumea i Schläsinger, wszyscy z bujnym owłosieniem, niekoniecznie uporządkowanym. Obok kostek stały grzecznie zaparkowane wózki i toboły. Mężczyźni raczyli się mocnym winem, zwanym nalewką, inaczej – *barmatuchą*. Paraskiewoj zatrzymał się na granicy światła i cienia i głośno pocmokał z dezaprobatą. Echo wzmocniło dźwięk, mężczyźni obejrzeli się, potem popatrzyli po sobie. Jeden z nich, przypominający Karola Marksa, z ogromną brodą i szopą falujących, najwyraźniej co jakiś czas czesanych włosów, wstał i zaczął zbliżać się do Siergieja Michajłowicza. Ten wyjął papierosa, zapalił jednego, ale nie schował paczki. Wyciągnął dwa papierosa do połowy, żeby brudne palce „Marksa” (takie, zresztą, nosił przezwisko, nie miał szans na inne) nie dotknęły pozostałych.

- Zawsze gdy na ciebie patrzę, Karolu, przywódco mas proletariackich, zadaje sobie pytanie, jak udało ci się wyhodować takie kudły? - zagaił Paraskiewoj, gdy Marks podszedł i wyciągnął rękę po daninę.

- A pośpij sobie parę tygodni na śmietniku, to może i tobie coś odrośnie - burknął nagabnięty. - *Mudak!*[\[1\]](#)

Siergiej Michajłowicz podał mu ogień i zaciągnął się swoim papierosem.

- A wiesz, że chyba masz rację? - powiedział zdziwiony, nie zwróciwszy uwagi na obraźliwe zakończenie przepisu na bujną czuprynę. - Nie przypominam sobie łysego *bomża*. Może to rzeczywiście skutkuje? Miazmaty, fetory, odory i smród dają popalić korzonkom włosów, tak? - Marks milczał, drapiąc się po plecach. - Można by założyć firmę „Wczasy dla włosów”, wywozić dyplomatów, dealerów, biznesmenów na oddalone od miasta śmietniki, żeby nikt

ich nie widział i nie musieli się wstydić, i kazać spać w syfie. Potem do bani na kilka godzin i wracają odnowieni, owłosieni, z kudłami, że pozazdrościć. A?

- *Chuj na!* - syknął „Marks”.

Zza paska spodni wyszarpnął zardzewiały, znaleziony wczoraj w małym gaju sierp, wziął zamach i błyskawicznie uderzył. Ostrze wbiło się w szyję Siergieja Michajłowicza i wyszło z drugiej strony, pod prawym uchem. Paraskiewoj nawet nie wypuścił papierosa z ust. Marks odsłonił żółte pniaki po zębach i z całej siły szarpnął sierp do siebie. Rozplatawszy szyję milicjantowi, odsunął się dwa kroki i splunął.

- *Bieri, suka!* - wysyczał.

Z tyłu, z barykady, na której chwilę temu raczył się *barmatuchą*, buchnęły wrzaski.

Siergiej Michajłowicz leżał na zakurzonym asfalcie, prawa stopa wykonała kilka chrobotliwych ruchów, papierosa zalała krew, syknął żar...

- *Job twaju mat', Marks, ty czewo, achujeł.* - zachrypiał jeden z *sobutylników*[\[2\]](#)

- *Da nam tiepier' chana*[\[3\]](#), *pizdiec! Musora*[\[4\]](#) *nas zajebut, niedajob ty praklatyj!* - dołączył drugi przerywanym, przechodzącym w pisk głosem.

Zachłysnął się szlochom, pełnym obrzydzenia z powodu drgającego ciała, krwi, sierpa, i przerażenia z powodu krwi, ciała i sierpa.

Obaj stali jak wmurowani w stalinowskiej rzetelności beton alejki.

- *Da w rot ja ich jebał!* - mruknął pod nosem Marks, zbliżając się z połyskującym czerwienią sierpem do kumpli. Cała trójka jak zahipnotyzowana wpatrywała się w mordercę. - *I was toże!* - ryknął niespodziewanie i rzucił się na kumpli.

Wbił jednemu sierp w plecy i natychmiast zrozumiał, że popełnił anatomiczny błąd - ostrze utknęło między żebrami i nie dało się wyjąć. Ugodzony szarpnął się, śliska od krwi rączka wymsknęła się Marksowi z palców. Był bezbronny. W przeciwieństwie do *sobutylników*. Ci mieli sporo po kieszeniach i dużo złomu w wózkach.

Podczas gdy na jednym z balkonów szóstego piętra zanosila się wrzaskiem młoda matka, która wyszła zdjąć ze sznura pieluszkę, trójka *bomżów* zmieniała żywego jeszcze chwilę temu Marksa w krwawe ścierwo, w mięsny strzęp, w zmiążdżony białkowy łachman.

- *Ujobywajem* - rzucił jeden, ciskające kawał stalowej rury na swój wózek.

Na swój, nie na pierwszy lepszy, w końcu to ze dwa kilo metalu, po sześć rubelków kilo.

- *Ni chiera* - zaprotestował drugi. - *Najdut i zajebut. A tak - my gieroi. Poriesyli ubijcu mienta, miedali dałżny dat'*[\[5\]](#).

- *Aga! Tak tiebie i dadut! Chuj dadut. Dagoniat i jeszcze raz dadut. Akanczatielno!*[\[6\]](#)

Trzeci, który jeszcze się nie odezwał, tylko chrypiał i spazmatycznie przełykał ślinę, chlipnął nagle, a potem chwycił się za kudły nad uszami i szarpnął je z całej

siły. Nie czuł tkwiącego w plecach sierpa. Adrenalina, uwolniona potężną dawką strachu, znieczuliła go skutecznie.

- *Szto diełat'?! -* wrzasnął. Potem ucichł i milczał chwilę. - *Co robić... -* powtórzył cicho.

- *Przymknij japę, Czernyszewski! Belfer pierdolony! -* warknął ten, który jeszcze długo tłukł rurą głowę Marksa, choć ostatnie podrygi ciała dawno ustały. - *Czekamy na gliny. Daj, wyciągnę ci ten jebany sierp.*

Były nauczyciel jakby zapomniał, że w jego plecach tkwi narzędzie zbrodni. Zachwiał się, zbladł i zaczął się odsuwać od butelkompana. Ten, zdawał się nie dostrzegać jego paniki albo chciał mu zrobić na złość i podchodził z wyciągniętą ręką. Z ust rannego wydobył się cichy modulowany skowyt, w który po chwili wplótł się siostrzany, niemal bliźniaczy jęk milicyjnej suki.

Mienty wpadły na podwórko.

Pojazd ze schodkami pędził w stronę znieruchomiałego samolotu. Na stopniu kabiny stał Kostia Sukonin, ale patrzył nie na samolot, nie na nas, stojących za plecami kapitana w otwartych, zabezpieczonych kratą pasów drzwiach. Kasztanowe włosy pod naporem wiatru przyłgnęły mu do głowy. Nie widziałem jego twarzy, ale mogłem sobie wyobrazić, jaką miał minę i jeśli nawet była inna niż przypuszczałem wolałem na niego nie patrzeć.

Kilkadziesiąt metrów od samolotu Sukonin podniósł głowę. Nie takiego spojrzenia oczekiwałem. Była w nim i pretensja, że to niby wszystko przeze mnie, i... nadzieja. Tak, pomyślałem, to najgorsza rzecz, jaka mogła go spotkać: zawiedziona nadzieja. Co ja mogłem zrobić?

Patrzyliśmy sobie w oczy, starałem się powiedzieć mu, że nic nam nie przeszkodzi, że damy radę, że będzie dobrze.

- *Nie okazuj mu, broń Boże współczucia! -* mruknął stojący za moimi plecami Jerzy.

Kapitan, słysząc to, drgnął i odwrócił się, ale się nie odezwał, tylko sięgnął do zapięcia odgradzającego nam drogę pasa. Ja też przemilczałem ostrzeżenie.

Platforma schodów dość mocno łupnęła w kadłub samolotu. Sukonin nie poruszył się. Pilot szybko zdemontował kratę i wypuścił nas. Zbiegliśmy po trapie. Od strony budynku lotniska pędził ku nam hyundai z kogutami i żółtymi pasami na dachu i bokach. Kostia zeskoczył ze stopnia i wyjął paczkę papierosów, zapaliliśmy.

- *Były -* wychrypiął, odkaszlnął i ciągnął - *w parku. Irina Matwiejewna i Lenka z Ninką. Czterdzieści minut temu Lenka do mnie z zadzwoniła komórki. Nie robi tego bez ważnego powodu. -* Podjechał samochód, wsiedliśmy z Jerzym do tyłu. Sukonin wskazał kierowcy kierunek w lewo i ponagląco pomachał w tamtą stronę palcem. - *Wysłuchałem nagrania Lenoczki. Powiedziała*

dokładnie tak: „Tato, ci ludzie kazali mi powiedzieć, że jeśli chcesz nas zobaczyć żywe, musisz postępować tak, jak ci każą. Przede wszystkim nie szukać nas, bo jak się zbliżycie na kilometr, wyrzucą nas z piątego piętra... No, zabiją. Musisz ich słuchać, tatusiu. *Sì rén bāng, tatusiu!*”.

Głęboko zaczerpnął powietrza. Jerzy zmarszczył brwi i pytająco patrzył na Kostię.

- *Sì rén bāng* - banda czworga, po chińsku. Czyli było ich, porywaczy, czterech. - Ponad moim ramieniem popatrzył na budynek dworca lotniczego, obejrzałem się też, charakterystyczny, kojarzący się z odwróconymi do góry dnem szklankami, jarzył się białym martwym światłem. Pięć szklanek na tle ciemnego ołowianego nieba. - Jest jeszcze coś, zaraz powiem. Wsiadamy, walizki dostarczą wam do domu, dobrze?

To „dobrze” zabrzmiało obrzydliwie prosząco, nieśmiało, drżąco. Mężczyzna nie powinien tak pytać, inaczej, nie wolno dopuścić, by ktoś zmusił mężczyznę, człowieka, do takiego drżenia w głosie, do takiej galarety w duszy. Poczułem, że drga mi lewa powieka. Po ranie, amnezji i leczeniu u Osipa pojawił mi się tik, taka reakcja na podwyższone ciśnienie, na wkurwę.

Hyundai wyhamował z przenikliwym piskiem opon. Migiem wpakowaliśmy się i pognaliśmy w kierunku dworca. Brzydkiego jak cholera, a dziś, w tej chwili, wręcz irytującego. Kostia bezczelnie cisnął połówkę papierosa na podłogę i niedbale zglanował go obcasem. Milczał chwilę, przygryzając dolną wargę. Już miałem zapytać go, co jeszcze ma nam do powiedzenia, ale uprzedził mnie Jerzy.

- Masz coś jeszcze?

Ku naszemu zdziwieniu odpowiedział tylko:

- Tak. - I zamilkł.

No dobra, albo pochłoneła go jakaś myśl, albo nie chciał przy szeregowym milicjancie dzielić się danymi.

Dwie minuty później zaparkowaliśmy, już bez efektów dźwiękowych, na służbowym parkingu, przesiedliśmy się do czarnego - jakżeby inaczej! - hyundaia i wyprzedzani przez bordowego cherokee, z wiszącym na ogonie audi kombi, wypadliśmy z parkingu i pognaliśmy do miasta, feerią kogutów i zawrotem syren rozpędzając samochody na pobocza szosy. Nie było ich, zresztą, zbyt wiele, i niezbyt chętnie ustępowały nam miejsca. Plaga bezczeli przyczepiających sobie wszelkie możliwe koguty stępiła dobre chęci zwyczajnych Rosjan. Na prostej, jakby widząc, że nie dzieje się nic godnego większej uwagi, Kostia odwrócił się do nas. Nawet nie zauważyłem, kiedy zapalił kolejnego papierosa.

- Były w parku, do pilnowania ich przydzieliłem jednego człowieka. Zadźgali go. Potem zwinęli... dziewczynki i Irinę. Moi ludzie przeczesują park... - Popatrzył mi w oczy. - Chyba nie mamy po co tam jechać?

Pokręciłem głową. Bo i po co? Oglądać pety i korę drzew? Od tego są technicy, z lepszym wzrokiem niż my.

- Na razie wiem tylko tyle, że nieopodal kręcono jakiś reklamowy klip.

Proszek do prania czy inne gówno... Tłum gapiów... Dziesiątki ludzi do przepytania. Nie wiemy, ilu z tych, którzy coś widzieli poszli do domu nieprzepytani.

Usiadł prosto, zapiął pas.

Kierowca, oszczędzając nasze uszy, włączał syrenę w trybie ponaglenia. Mknęliśmy w tunelu wycinanym przez pilotującego nas hyundaia. Z prawej, nad mrocznymi polami, na styku z horyzontem, błysnęło. Nie wiem, dlaczego pomyślałem: „Pisnęła błyskawica”. Droga skręcała w tamtym kierunku. Zmieniliśmy znowu pas, ale jakiś ford, uciekający chyba przed naganiaczami szrotu, zajechał nam drogę i nie przejmując się *migałkami* i syreną, blokował drogę.

- *Zastrieli jowo!* - warknął Sukonin.

Zanim zdążyłem otworzyć usta, kierowca wyszarpnął z kabury pod prawą pachą pistolet i wystawił go przez okno. Ford z zaskakującą żwawością uskoczył w prawo, odsłaniając nam drogę. Przed nami był ładny kawałek pustej trasy, tylko na lewym pasie, lewymi kołami przygniatając wybujałą trawę, stała ciężarówka z włączonymi światłami awaryjnymi. Blaszana buda miała ciemnozielony kolor i jakieś napisy...

Nagle drzwi ciężarówki otworzyły się szeroko, w ciemnym wnętrzu zobaczyłem dwie skulone sylwetki w ogromnych okularach, tulące do siebie...

Ten z lewej wystrzelił pierwszy.

Po raz pierwszy w życiu widziałem na żywo to, co tak wiele razy pokazywały niezliczone hollywoodzkie akcyjniaki: lot granatu w kierunku widza. To było idiotyczne, ale filmowcy wiedzieli, co robią: granat mknął przed siebie w spowolnionym, kisielowatym tempie. Wydawało się, że mogę w tym czasie zrobić wiele rzeczy: wyjąć notes, zapalić papierosa, wyskoczyć z wozu.

Nic nie zrobiłem.

Ja. Ja nic nie zrobiłem.

Granat trafił w bordowy wóz pilotujący. Kapotował i eksplodował w ułamku sekundy. Zdmuchnęło go z szosy.

Druga sylwetka w ciężarówce odpaliła pocisk. Ten mknął ku nam niby wolno, a tak naprawdę z prędkością niweczącą w zarodku wszelkie próby uniknięcia trafienia.

W hyundaiu nikt nawet nie otworzył ust, nikt nie krzyknął, nie zaklął, nie zaczął się modlić.

Pocisk... Granat... Smuga dymu, leniwie snująca się i zakrywająca częściowo podnoszące się z kolan sylwetki - wszystko to sparaliżowało nas.

Nas tak, ale nie kierowcę.

Kątem oka zobaczyłem, że wykonuje kierownicą jakieś niewyobrażalnie szybkie ruchy. Działo się to tak szybko, że wydawało mi się kompletnie absurdalnie, jakby w jakimś innym ułamku sekundy, dodanym przez podzielony na szufladki mózg, że koło kierownicy zmienia się w ósemkę. Kierowca cały zeszytniał, chyba zaparł się stopami o pedały i mamrotał coś pod nosem.

Wóz nagle majtnął się na boki, potem podskoczył, odbił się kołami od wyrzuczonego na poboczu asfaltu, wierzgnął, bryknął i wystrzelił w górę. Huknął jednym bokiem w metalową taśmę barierki, furknął w powietrze i poleciał w pole.

Jerzy zwał się na mnie, a ja ze zdziwieniem zorientowałem się, że siedzę wciśnięty kolanami w oparcie przedniego fotela, prawą dłońią czepiam się podłokietnika, a lewą usiłuję objąć Jerzego, ale on już przygniótł ją sobą do boku. W kikutach palców rozwarły się kratery bólu... Walnęliśmy dachem o zaorany grunt, odbili niczym piłka tenisowa, trochę sflaczała. Nawet udało mi się utrzymać na siedzeniu, tylko Jerzy poleciał w górę, czyli w dół. Z nieprzyjemnym jęklwym trzaskiem pękła któraś szyba, przez otwór wdarł się jakiś nowy, nowy od kilku, może trzech sekund dźwięk - prucie mocnej elastycznej tkaniny.

To ci z audi kombi! - pomyślałem.

Nasz wóz uderzył bokiem o ziemię, Jerzy zwał się na mnie, tym razem udało mi się go objąć i przytrzymać. Jeszcze raz podskoczyliśmy niemrawo i stanęliśmy na czterech kołach. Silnik nie przestał pracować.

Kierowca, do połowy wychylony na zewnątrz, strzelał w kierunku ciężarówki. Sukonin rzucał na przemian „kurwami” i „jobami” szarpał się zablokowany pasem, jednocześnie masakrował pięścią poduszkę.

Ciężarówka wolno, z wyjątkiem przeraźliwie silnikiem, usiłowała wydostać się z pasa trawy, ale nawet z tej odległości było widać, że podwójne tylne koła zostały podziurawione pociskami. Jeden z zamachowców bezwładnie przeturlał się po podłodze paki i obrzydliwie, niczym ogromna pacynka, zwał się na jezdnię, uderzając w nią najpierw głową, a potem przywalił ją martwym, śmiertelnie giętkim ciałem. Drugi ze strzelców wyskoczył na pas trawy, co było o tyle głupie, że audi już hamowało o kilka metrów od niego, z trzech okien akrobatycznie wyłaniali się omonowcy z maszynkami w dłoniach. Mężczyzna zrobił krok i... tym sposobem pozbawił się nóg. Masa pocisków niczym nóż pulsacyjny zmasakrowała mu łydki i kolana. Runął w trawę, dwaj agenci wyskoczyli z wozu, kierowca z czwartym wystartowali, chcąc zająć drogę ciężarówce, ciągle jeszcze usiłującej panicznie i bezsensownie uciec. Seria chlasnęła po oponach, ciężarówka zachwiała się i ryknęła nie wiadomo dlaczego klaksonem. W obliczu śmierci i całego tego burdelu brzmiał kretyńsko: piskliwie i obrzydliwie.

Szarpnąłem za klamkę i wyskoczyłem na pole, potknąłem się o głęboką skibę i zapikowałem na twarz. Mokre i zimne, tfu!

Nie miałem broni, przecież mieliśmy lecieć samolotem! Nie miałem na sobie kamizelki, bo po co?

No i w obecnej sytuacji naprawdę po co?

Zamachowcy zostali zastrzeleni albo - kierowca? - zatrzymani. W trafionym granatem pojedzie nie mieli szans na przeżycie. Na szosie słyhać było piski opon, wrzaski, wyzwiska, okrzyki zdziwienia i przerażenia, a nad całym tym

tumultem unosił się płacz dziecka.

Co za idiota na widok strzelaniny wyjmując dzieciaka z samochodu, zamiast wiać w drugą stronę? – pomyślałem. Co, chce pokazać dzidzi, jak się likwiduje niegrzecznych wujków?

Z hyundaia wygramolił się Jerzy i nagle fiknął kozła – to wściekły Sukonin, nie mogąc sobie poradzić z poduszką i pasem, wystrzelił w wyrastającą przed nim banię.

I zapadła cisza, to znaczy – ustała strzelanina.

Od strony ciężarówki dochodziły krzyki, świadczące o tym, że ktoś w kabinie kierowcy jednak przeżył, był wywlekany i obrzucany wyzwiskami. Za nami na polu trzaskały w płomieniach jakieś elementy samochodu. Sukonin zrobił kilka kroków w jego kierunku, zatrzymał się i stał chwilę z zaciśniętymi ustami.

Po brodzie spływała mu cienka strużka krwi.

Odwrócił się wolno, z widocznym wysiłkiem poruszył ustami, otarł krew. Popatrzył na Jerzego, na mnie. Zrobił dwa kroki, stanął tuż przede mną i jeszcze dodatkowo pochylił się w moim kierunku.

- Co to jest, Kamil? Wojna? Jakaś pierdolona wojna? Co to – Czeczenia? Afganistan? Irak? Z nami? Z nami, kurwa?!

Mimo wyraźnych pytań nie nazwałbym jego wypowiedzi ciągiem pytań.

Nasz kierowca, arcy-kurwa-mistrz kierownicy, potrafiący wyrzucić w powietrze dwutonową maszynę, schował broń. Sądząc po jego reakcji, bitwa na szosie zakończyła się. Dwaj ludzie z hyundaia krzżeli się przy trupie jednego ze strzelców i rannym, czy może już też wymeldowanym ze świata żywych, pozostali uwijali się przy kabinie kierowcy.

W polu dogorywał zmasakrowany pociskami z granatnika nasz trzeci wóz. Nikt nawet nie próbował się do niego zbliżyć.

Zimne zawodowstwo. Koledzy polegli, kolegami zajmiemy się później. Godnie się zajmiemy.

Wyjąłem papierosa.

Most Liejtienanta Szmidta stanowi granicę: po prawej, idąc w kierunku Admiralicji, płynie Newa, od jego lewej krawędzi zaczyna się Zalew Fiński i część zwana Newską Gubą.

Kapitan Morowskoj zawsze przekraczał most Lejtienanta Szmidta, wcześniej Mikołajewski, jeszcze wcześniej Błagowieszczanski, prawym chodnikiem. W połowie mostu wypalał papierosa, wpatrując się w zabytkowe gmachy, odnotowując postępy prac renowacyjnych i – z satysfakcją – brak wieżowców w centrum nie tak starego, bo trzystuletniego tylko miasta.

Było wczesne popołudnie, Morowskoj dotarł do środka mostu, zatrzymał się, sięgnął po papierosa.

Nie miał. Zostawił w komisariacie.

Job!...

Wściekły gapił się chwilę na Newę, do której nigdy nie wrzucił niedopałka. Do mostu zbliżał się statek wycieczkowy, górny pokład wypełniony turystami, strzelającymi fleszami we wszystkie strony, szczególnie w stronę mostu, o którym opowiadała niewidoczna z brzegu przewodniczka. Z głośników leciał monotonny wyraźny głos. Morowskiej odwrócił się tyłem do obiektywów, w starym dobrym psim odruchu ukrywania twarzy.

- ...pierwszy stały most przez Newę, znajdujący się między placem Trezini i placem Truda. Długość mostu wynosi trzysta trzydzieści jeden metrów, szerokość - dwadzieścia cztery metry. Przelot otwieranego przęsła ma długość czterdzieści dwa metry, dwa razy więcej niż przed rekonstrukcją mostu. Przelot otwierany jest za pomocą silników elektrycznych w tak zwanym systemie Leonarda. Na linii mostu przebiega podział wodny między Newą a początkiem Zalewu Fińskiego - Newską Gubą. Współczesną nazwę most otrzymał w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, na cześć lejtnanta Piotra Piotrowicza Szmidta, przywódcy powstania na krążowniku „Oczakow” w tysiąc dziewięćset piątym roku. Spory o projekt mostu trwały niezwykle długo, bo aż sześćdziesiąt lat. Rosyjscy i zagraniczni inżynierowie i architekci zgłosili mnóstwo pomysłów, zwyciężył absolwent Instytutu Dróg Komunikacyjnych, młody petersburski inżynier Stanisław Walerianowicz Kierbedź. Budowę ulokowano w miejscu, gdzie do Newy wpada Kriukow Kanał, którego ujście wpuszczono w kamienne rury i zasypano. Pierwotnie...

Morowskiej westchnął i ruszył w stronę budynku Admiralicji. Para młodych ludzi z kapturami na głowach, spod których wyłaniały się właściwie tylko kabelki jakichś odtwarzaczy, rozstała się, przepuszczając kapitana.

Zrównał się z nimi, a wtedy czas nagle przyspieszył, runął i... skończył się.

Dwaj młodzieńcy, mijając Morowskoja, chwycili go pod ramiona, jeden wyszarpnął nie wiadomo skąd linę, zarzucił na szyję kapitana, a ten, zły na swoje gapiostwo, zamyślony i rozluźniony, zareagował tylko wierzgnięciem nóg. Oprawcy podrzucili jego ciało w górę i przerzucili przez barierkę mostu. Gdy leciał w dół, ten, który miał linę, błyskawicznie omotał jej koniec dokoła ozdobnej szyszki balustrady.

Kapitan Morowskiej przeleciał trzy metry, wymachując bezładnie nogami i usiłując chwycić dłońmi linę.

Nie udało się.

Z ohydny chrzęstem wyłamywanych i rozrywanych kręgów majtnął się na linie, jego ciało zaczęło się kuliście kołysać.

Dwóch katów zniknęło z pola widzenia wycieczkowiczów, ich kamer i aparatów fotograficznych. Przebiegli na drugą stronę mostu i szybkim krokiem oddalili się z miejsca egzekucji.

Przewodniczka, nieświadoma sceny, jakiej świadkami byli chyba wszyscy na górnym pokładzie stateczku, informowała o tym, że oryginalne żeliwne filary

mostu w latach tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt trzy – pięćdziesiąt sześć zostały użyte do budowy zniszczonego przez faszystów mostu przez Wołgę w mieście Kalinin, dziś znów noszącym nazwę Twer. Dopiero po chwili histeryczny wrzask pasażerek i okrzyki grozy, a potem wyteżony odgłos pracujących wstecz pełną mocą silników statku, spowodowały, że zaskoczona i spanikowana, urwała i wyjrzała przez okno.

W tym momencie już kilku kierowców samochodów z mostu i kilkunastu pasażerów stateczku, a także jego sternik, bardziej lub mniej beładnie relacjonowali zajście dyżurnemu milicji miasta Sankt Petersburg.

ROZDZIAŁ 2

Konstantin Sukonin długo stał przy oknie w swoim gabinecie, niewidzącym spojrzeniem wpatrując się w ulicę przed budynkiem zarządu MSW. Potem odsunął się i przemaszerował po pokoju w każdym z możliwych kierunków, odliczając pod nosem kroki. Czternaście, dwanaście, osiem. Powtórzył pomiar, nie zgadzało się pół kroku.

Podszedł do regału, wyjął płytę Kenny'ego Rodgersa i włożył do odtwarzacza. Ruszył w ponowny pomiar, ale trwało to tylko dwie minuty i czterdzieści sekund, następnym utworem była piosenka o córeczkach. Sukonin znieruchomiał, zapalił papierosa, spokojnie wyjął płytę, włożył do pudełka, ustawił w szeregu na półce, po czym wyjął pistolet i przestrzelił całą kolekcję.

Dowiedziałem się tego od generała Jarcewa, który w trybie pilnym wezwał mnie do siebie w celu, jak się okazało, zapoznania mnie z ciężką i trudną sprawą kapitana Sukonina. Tak jakbym sam nie czuł, że nerwy Kostii są napięte jak struny harfy!

- Chyba rozumiem, o co chodzi kapitanowi - powiedziałem. - To może być taki „twardy reset”, przestawienie siebie, nastawienie się na to, że nie ma nic ważniejszego, nic godnego, nic ładnego, gdy jego córki są w rękach porywaczy.

- Tak... Tak to chyba jest. - Generał chwilę stukał w blat biurka końcówką długopisu. - Wiesz... Gdy Kostia miał trzy latka, przyjechał do nas brat mojej żony, szwagier, jego - jak się już mówiło - wuj. To był dobry człowiek, ale nigdy nie miał do czynienia z dziećmi, nie rozumiał ich i chciał, żeby od razu stawały się mądre jak dorośli. Przez tydzień ciągle strofował Kostię, to niedobrze, to nie tak, tamto niewłaściwie. Pewnego razu powiada: „Chodź, Kostia pójdziemy na spacer”. Stałem w kuchni i widzę, jak mój malec podchodzi do wieszaka, wkłada kurteczkę i mruczy coś pod nosem. Na palcach podkradłem się bliżej i usłyszałem, jak trzyletni brzdąc mówi do siebie: „Trzeba przestać się bać! Trzeba przestać się bać!”. Usłyszał to też wuj Grisza, śmiał się do łez i od tej pory zmienił stosunek do Kostii.

A Kostia Sukonin zrobił z tych słów swoje motto życiowe.

Milczeliśmy chwilę. Ogromny zegar z wahadłem i sekundnikiem pochrypiał, pozgrzytał i wybił drugą. Wpatrywałem się w niego długo.

- Ten sekundnik to dzieło rosyjskiego mistrza, takiego, co to pchłę podkuje. Ze względu na niesłychaną precyzję mechanizmu i komplikację rzecz unikatowa. O czym ja gadam? - Generał westchnął. - Chciałem, żeby pan wiedział, że Kostia... i ja... zrobimy wszystko... Dopadniemy każdego, kto umoczył swoje cholerne brudne paluchy w tej sprawie...

Pokiwałem głową.

- Dobrze. Panie Stochard, zaczynamy naradę. Proszę do centrali.

Główny ekran jarzył się windowsowym błękitem. Mniejsze były zapracowane wyraźniej: meły jakieś raporty, przypuszczalnie bardziej dla efektu niż z realnej potrzeby. Siedziałem w centrali dowodzenia z Jerzym, jakimś nieznanym porucznikiem, który się nie przedstawił. Może nie wiedział, na jaką poufałość czy dozę zaufania może sobie pozwolić, ja też się nie pchałem ścisnąć mu dłoń. Nie widziałem popielniczek, nikt nie zabraniał palenia, ale też nikt nie zezwalał, wybrałem wyjście pośrednie – paliłem w przestronnym kiblu, gdzie wyciąg niemal wyrывał papierosa z ręki, a dym nie nadążał się uformować w widowiskowe pasemka, tylko gnał jednym siwym szpurtem w kierunku kratki.

Sukonin, burknąwszy coś, zniknął z centrali dobre czterdzieści minut temu. Na korytarzu, gdy już zamykały się drzwi windy, mignął mi kapitan Gariadze, strzelił w moim kierunku niechętnym spojrzeniem, jakby miał o coś pretensje. O co? Że nawiozłem im guimonów w walizce czy co?

- Na cholerę im tu te serwery? – mruknąłem do Jerzego. – Bardziej przy...

- Czyś tu zdurniał? – przerwał mi. Uśmiechnął się szeroko. – Masz opóźnienie w tej dziedzinie. Po drodze, jak zjeżdżamy tutaj, jest piętro z klimatyzowaną halą, dwieście maszyn w szafach typu *rack*, adiabatyczna podłoga i inne cudeńka. – Przerwał i przygryzł dolną wargę. – Co ja gadam? Adiabatyczna czy antyelektryczna? Antystatyczna? Nieważne. Nie wpuściliby cię tam w elastycznych majtach... – Zmarszczył brwi i czoło. Miał brwi jak Nicholson, mefistofelowe, gdy nimi poruszał, wyglądał jak zafrasowany niebezpieczny czort. – Te tu – uniósł prawą brew, wskazując „serwery” – to tylko jakieś końcówki, chłopie.

- Nie noszę elastycznych majtasów, *amigo*. Bokserki.

- Wiem.

Przeciągnąłem się i już miałem pójść na jeszcze jednego papierosa, gdy sapnęły drzwi, do centrum wszedł energicznie Jarcew, za nim ponury Gariadze, ale i tak przy generale wyglądał jak rozanielony jazdą na karuzeli chłopiec. Dwaj nieznanymi mi cywile, ale z mundurami w sercu, jakiś porucznik, Sukonin, Konowalenko i trzech umundurowani omonowcy. Nikt nikogo nie przedstawiał, oni pewnie wiedzieli, co mieli wiedzieć, my mieliśmy wiedzieć mniej. Zresztą co mi po nazwiskach i stopniach?

- *Dawajcie, k diełu!* – rzucił Jarcew i usiadł pierwszy.

Pozostali roztasowali się i rozsiedli, Sukonin naprzeciwko nas, Gariadze po mojej prawej ręce, po lewej Jerzy. Jarcew pozwolił sobie na zdjęcie okularów i chwilę masował powieki opuszkami kciuka i wskazującego palca, potem odetchnął głęboko i założył okulary.

- Większość obecnych to Rosjanie, będziemy prowadzili rozmowę po rosyjsku, wam to nie sprawi problemu – popatrzył na Jerzego i na mnie. Obaj zgodnie skinęliśmy głowami. – Kapitan Gariadze dowodzi grupą prowadzącą śledztwo w sprawie porwania. – Nie podał nazwiska ofiar. – Kapitan Sukonin

zajmuje się drugą sprawą. Ta druga, mająca szeroki, nadspodziewanie szeroki zakres, to ataki na siły porządkowe w Petersburgu i okolicy. Od czego zaczniemy?

- Proponuję, towarzyszu generale - odezwał się Sukonin - od wojny z milicją.

- Dobrze. Zreferujcie, co się wydarzyło. - Generał podniósł okulary i oparł je na czole.

- Niemal równocześnie z porwaniem moich córek została zaatakowana milicja petersburska. Akcja przybrała różne formy, od ataków na pojedynczych stróżów porządku - poderżnięto sierpem gardło dzielnicowemu, na peryferiach Petersburga zginęli od noży jeszcze dwaj. Jeden został powieszony na moście, ostrzelano samochód patrolowy, z trzech milicjantów jadących do wypadku dwaj zginęli, trzeci w stanie ciężkim walczy o życie w szpitalu. Jeden posterunek, obrzucony koktajlami Mołotowa, spłonął doszczętnie, ofiarami są dwaj milicjanci i chyba siedmiu z kapeze.

- Kapeze? - zapytałem.

- *Kamiera Priedwaritielnowo Zakluczenija*. - Sukonin jakby się rozzłościł zawracaniem mu głowy nieistotnymi drobiazgami. Strzelił niecierpliwie palcami.

- Areszt tymczasowy? - dociekałem dalej.

- Tak. - Skrzywił się. - Poza tym ostrzelano nasz konwój wracający z lotniska. Czterej ludzie stracili życie. Jeden z zamachowców nie żyje, drugi jest ciężko ranny. Kierowca to notowany już recydywista, personalia pozostałych ustalamy. Możemy obejrzeć film, nawet kilka filmów ukazujących sceny powieszenia kapitana Morowskoja.

- Towarzyszu kapitanie. - Lejtnant poderwał się. - Prezentowałem już dwa takie filmy kolegom z Po... ze Sta... naszym gościom... - zacukał się i zamilkł.

- Dobrze. Szkoda czasu. Ten mord to tylko jeden z elementów wypowiedzianej nam wojny. Niepodlegająca dyskusji próba zastraszenia nas i doprowadzenia do hysterii społeczeństwa.

- Po co? - szybko zapytał Jarcew.

- Właśnie. Ktoś czegoś chce. Dowiemy się w swoim czasie.

- Gdy ten ktoś uzna, że dostatecznie skruszeliśmy. Że może już dyktować warunki - powiedziałem wolno i wyraźnie.

- Właśnie - włączył się Jerzy. - Trochę to jest bezładne, nieskoordynowane...

- Nie? - Gariadze okręcił się na krześle i cofnąwszy głowę, niemal dotknął brodą guzika swojego munduru.

- Nie, zaplanowane i skoordynowane byłoby, gdyby zaatakowano patrole albo posterunki, albo strzelano do każdego samotnego milicjanta. A to wygląda, jakby grupa ludzi, najprawdopodobniej z tak zwanego świata przestępczego, dostała rozkaz: każdy, kto może, ma zabić milicjanta. Dowolnym sposobem. Byle już, zaraz, skutecznie i z... hukiem, z przytupem.

- Co to waszym zdaniem znaczy? - Coś w głosie Gariadzego powodowało, że nie mogłem, albo nie chciałem, uznać go za kumpla, choć działaliśmy razem na Koniewcu. - Jakie macie przemyślenia?

- Nie wiem, ale się dowiemy, i to chyba szybko. Świat przestępczy zaatakował. Musiał. Ale to nie znaczy, że się im to podoba, bo przecież wiedzą o akcjach odwetowych. Już są ofiary, trwają aresztowania i czystki, prawda?

- Tak - powiedział Kostia Sukonin, pozostali milczeli.

- Przestępcy najchętniej nie ruszaliby milicji, i marzą tylko o tym, by i ona ich nie ruszała. Teraz są w przymusowej sytuacji, więc atakują.

- A nie odnotowano czasem - wpadłem mu w słowo, bo Gariadze nieźle mnie wkurzył - wzmożonego wpływu elementu przestępczego z miasta?

Zapanowała cisza. Jarcew wykonał nieznaczny, ale ważki ruch brodą w kierunku jednego z nowych milicjantów. Ten chwilę zastanawiał się ze wzrokiem utkwionym w ekran swojego laptopa. Potem skinął głową.

- No tak, patrole na rogatkach nie nadążają z wygarnianiem z samochodów różnych żulów, to samo na dworcach.

- Uciekają?! - syknął Sukonin.

- Zmywają się - powiedziałem. - Nie mają ochoty robić tego, co im ktoś każe.

- Kto? - Sukonin niemal położył się na blacie stołu i patrzył na mnie.

- Wie pan, kapitanie, co odpowiem - powiedziałem od razu. Żeby nie miał wątpliwości, że odpowiedź znam od dawna.

- *Daaa...*

Nie było jasne, czy to potwierdzenie, że wie, czy tylko taki przerywnik, podsumowanie dialogu.

Komórka przed Jarcewem rozjarzyła się i zadygotała.

- Pięć minut przerwy - rzucił generał i chwyciwszy komórkę, wymaszerował z centrali.

Poszedłem na papierosa. Za mną wymknął się jeden z tych dwóch nieznanym, ale nie rozmawialiśmy. Wypaliłem papierosa, wyjrzałem, generała nie było, więc zapaliłem drugiego. Rosjanin też zapalił następnego. Bez większego przekonania, chyba po prostu miał mnie mieć na oku, może z własnej inicjatywy. Może nie.

Wszedł Jerzy, puścił do mnie ostentacyjnie oko i zamknął się w kabinie. Zgasilem papierosa i wróciłem do sali.

Gdy przekraczałem próg, w powietrzu zawisł znak zapytania po jakichś słowach Sukonina. Gariadze odchylił się w fotelu i prychnął:

- *Och, eti waszy... gej-meny!* - zachichotał.

Usiadłem i przesunąłem odrobinę laptopa.

Sukonin wpił się w Gariadzego płonącym spojrzeniem. Ten zerknął na mnie, z wysiłkiem przełknął ślinę. Grdyka poruszyła mu się kilka razy, jakby się dławił.

- Kamil, już ci mówiłem, że laptopy są przypięte do blatów nie dlatego, że boimy się złodziei - powiedział Sukonin, nie odrywając oczu od Gariadzego. - Kiedyś jeden oficer przyłożył drugiemu takim komputerem.

Niedbale pokręciłem kółkami na zapięciu linki. Pociągnąłem linkę, wyskoczyła z blokady. Przesunąłem laptopa. Gariadze drgnął. Sukonin przeniósł spojrzenie na mnie.

- Kiepskie zabezpieczenie - mruknąłem.

Już podczas pierwszej wizyty w centrali odkryłem, że ktoś pomyślał tak jak ja: jakie jest najprostsze trzycyfrowe zabezpieczenie, nie do zapomnienia? 007!

- Dalej już będziemy rozmawiać po rosyjsku - powiedział Kostia. - Poczekamy tylko na towarzysza generała.

Drzwi za moimi plecami otworzyły się, do stołu wrócił Jerzy, za nim podążał nieprzedstawiony nam milicjant. Jerzy chyba wyczuł jakiś swąd w atmosferze, nie patrzył na mnie, ale już znałem jego odrobinę czujniejsze spojrzenie i sposób oddychania - bezgłośnie, jakby bał się zagłuszyć coś, na co powinien zwrócić uwagę. Ja wiedziałem, że już mamy zbiorczą ksywkę u Rosjan, że Gariadze nie zmarnuje takiego udanego bon motu. Gej-meny. Trudno.

Wrócił Jarcew, w drodze na swoje miejsce obrzucił zebranych uważnym spojrzeniem, chyba chodziło mu o sprawdzenie, jak się trzyma Sukonin, ale odnotował też odpięty leżący przede mną laptop i stężone pod sufitem napięcie.

- Teraz porwanie dziewczynek? - zapytał. - Kapitanie, proszę zreferować.

- Rano, około dziesiątej, Irina Matwiejewna Jarcewa i dwie moje córki były w parku. O dziesiątej czterdzieści zadzwonił telefon Leny, nagranie znacie. Informacja o porwaniu i dodatkowa po chińsku o „bandzie czworga”, czyli wiemy, że porywaczy było właśnie tyłu. Nieopodal w krzewach znaleźliśmy ciało milicjanta, który miał dyskretnie obserwować... - odchrząknął - ...dziewczynki. Dźgnięty od tyłu w serce. Idziemy dalej. W stojącym obok ławeczki, na której siedziała Irina Jarcewa, koszu na śmieci znaleziono jej telefon z włączonym dyktafonem. Musiała coś zobaczyć, włączyła nagrywanie i pozbyła się telefonu, niewiele na nim jest. Męski głos każe zachować ciszę, grozi śmiercią dziewczynek. Irina Jarcewa mówi tylko: „Żeby wam brody robaki zżarły, gady!”. To nam trochę pomogło, ponieważ nieopodal prywatna ekipa nagrywała klip reklamowy jakiegoś soku. Kamerzysta, ustawiając światło, kręcił trochę okolicy, robił też próbne ujęcia, poza tym w klipie brała udział grupa rozentuzjasmowanych statystów. Udało się dojrzeć dwóch brodatych mężczyzn, nie całkiem tak zwanej azjatyckiej urody, ale z czarnymi brodami. Generalnie - *czornomazyje*. - Nie starał się ukryć niechęci, choć słowo „niechęć” słabo oddawało jego stosunek do porywaczy. - Trwa ustalanie ich tożsamości.

Milczał chwilę.

- Przepraszam, a telefony dziewczynek? - odezwał się Jerzy. - Widziałem przelotnie aparat jednej z nich. Wydał mi się dość niezwykły... Taki *no name*, nawet się zdziwiłem, że dziewczynka zgodziła się na coś, czym nie może się pochwalić koleżankom.

- Tak. To ważne i już wyjaśniam. Proszę o cierpliwość, bo żeby wszystko było jasne, muszę zacząć od początku. Nina i Lena bardzo chciały dostać modne bajeranckie iphony na urodziny. Wiadomo: Internet, gry, Facebook, Skype, ICQ i tak dalej. Najpierw walczyłem z tym pomysłem, potem postanowiłem wykorzystać go do swoich celów. Nie pasowały do nich urządzenia Apple. Choć piekielnie rozbudowane, są zamknięte i nie pozwalają na pełne wykorzystywanie

zasobów. Kolega ze studiów, Koreańczyk, który pracuje w dziale rozwoju Samsunga, przekazał mi dwa testowe, nierejestrowane, egzemplarze telefonów. Jeszcze bez nazwy. Mają od cholery tych zabawnych chwastów, pracują w oparciu o system operacyjny Android, a konkretniej na jego niejawną próbną wersję o nazwie kodowej Ice Cream. Moi koledzy z komórki... – pokiwał głową i ciągnął: – ...z pewnej naszej komórki dopisali nakładkę na system i zespół aplikacji, które w pełni wykorzystują dostarczony mi hardware. Co jest niezwykłego w tych telefonach... Pozwalają, po pierwsze, na uruchomienie trybu awaryjnego przez podanie alternatywnego pinu lub wykonanie specjalnej serii określonych ruchów na dotykowym ekranie. Po wejściu w taki tryb telefon działa normalnie, ale ma też wielowątkowy system operacyjny, umożliwiający równoległe działanie wielu aplikacji. Aplikacje umieszczone w pamięci przez moich kolegów zmieniają telefon w urządzenie nasłuchowo-lokalizacyjne.

– To działa? – przerwał mu Jarcew.

– Tak, ale telefon, z którego dzwoniła Lena został zniszczony. Namierzyliśmy go i znaleźliśmy, to nam wskazuje kierunek poruszania się porywaczy od parku do punktu, w którym wyrzucili zniszczony aparat. Może to być mylące, może nie. Drugi jest wyłączony. Wyjęta bateria. Szkoda, że porywacze nie dali się nabrać na wyjęcie karty, bo karty pełnią w nich tylko funkcję nośników danych. Gdyby po prostu wyjęli kartę, telefon nadal by się logował. Dane z GPS-u, informacje z czujnika przyspieszenia, czujnika żyroskopowego i kompasu elektronicznego pozwalają narysować ścieżki ruchu z dokładnością do trzydziestu centymetrów. Wiedziałbym nawet, poprzez czujnik ciepła, czy ktoś go trzyma w ręku, nie wspominając o tym, że dane z mikrofonu i aparatu fotograficznego przekazywane byłyby strumieniowo do Sieci. Wysokość nad poziomem morza też.

– No, no! – skwitował Jerzy.

– To jeszcze nie wszystko. – Aby zapewnić możliwie najszybsze połączenie i przekazanie tych danych w czasie rzeczywistym, telefon również „w tle” próbuje się połączyć z dostępnymi hot-spotami i prostym algorytmem łamie hasła dostępowe. Tak więc brakuje nam tylko jednego: baterii w aparacie.

– Jest nadzieja, że zadzwonią z jakimiś żądaniem – powiedziałem.

– Tak, jest taka szansa. Wtedy telefon sam się zaloguje na pewnej stronie internetowej. Oczywiście mam ją cały czas na podglądzie. Od chwili zalogowania będziemy mieli, niestety, mało czasu, bo „mój” tryb awaryjny szybko zżera baterię. To chyba jego jedyna wada... – Sukonin zwał się na oparcie krzesła, pomasażował sobie kark i powiedział: – Poddaliśmy analizie tło dźwiękowe towarzyszące głosowi Leny, nic znaczącego, najprawdopodobniej były w jakimś mieszkaniu.

– Ile czasu minęło od porwania do telefonu? – zapytał Gariadze.

– Dziewięćdziesiąt minut – odpowiedział Konowalenko. Uniósł rękę, ściągając na siebie uwagę i wskazał palcem centralny ekran: – Tu jest park... – Na ekranie pojawiła się hybryda mapy z fotografią satelitarną. – Park Udielnyj. To miejsce

porwania. - Na ekranie najpierw plama zieleni po drugiej stronie rzeki została zakreślona czerwonym mazem. Następnie na północnym skraju parku pojawił się żółty iks. - To jest miejsce znalezienia telefonu. - Jakies czterdzieści centymetrów od parku pojawił się niebieski iks. - To jest odległość, jaką pokona przeciętny samochód z przeciętnym kierowcą od parku...

- Uwzględniliście dotarcie do samochodu? - wtrąciłem się. - I ruch w tych godzinach?

- Tak. Jak widzicie, one były na obrzeżu parku. Zakładamy, że nie stawiały oporu. - Popatrzył na generała i kontynuował: - Jeśli rozmowa była nagrana w miejscu ulokowania porwanych, musiałyby to być mniej więcej tu... - Nakreślił koło wielkości piłki do koszykówki.

- Porywacze byliby idiotami, gdyby wyrzucili telefon pod własną bramą, prawda? - zauważył Jerzy.

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com